

30.000

HARCERZ



PISMO MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ.

Warszawa, Rok II. Styczeń 1918 r.

Nr. 1.

Cena 80 fen. w Warszawie i na prowincji.

„Jeśli w waszym kraju jest dużo podobnych do Ciebie chłopców, to nie prędko dadzą sobie z wami radę“.

Henryk Sienkiewicz: „W PUSTYNI I W PUSZCZY“.

PRZYSIĘGA.

Na rocznicę Kościuszkowską —
uroczystą akademię harcerską
w I-szym Okręgu Stołecznym.

Duchu mocarny na — święte prochy
Twojego ciała czynimy Polsce młodzieńczy
ślub:

Gasić słabości w sercach popłochy,
Roztworzyć Matce splekany grób.
Z polaka mianem żyć chcemy górnie—
W świtanie złotych wolności snów
Zejdź w serca nasze - Wodzu - powtórnice
I wojsko Twoje błogostaw znów.

Do Ciebie wnosim z przysięgą ręce
Harcerstwa Polski żołnierska młodź,
Prowadź nas — Duchu jasny — w ud ręce
I budź nas — Wodzu — budź, zawsze budź!

Ślubuję Tobie miłość serdeczną,
Niepokalanych nadziei blask,
Służbę Ojczyźnie niezłomną, wieczną
I Twych sztandarów powstania brzask.

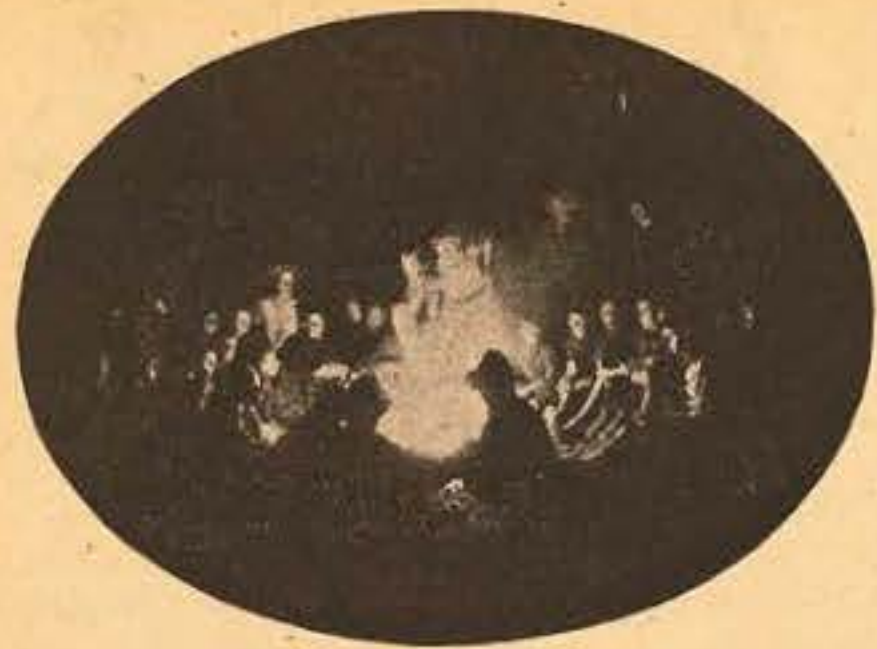
Ślubuję wierność Twojej idei,
Ślubuję czystość szlaków i dróg,
Chcemy być zorzą nowych nadziei —
Wspomóż nas Bóg!

10.X 1917 r

K.

□□□□□□□□

□□□□□□□□



GAWĘDY.

Gdy nasza garstka znalazła się wśród turni i wirchów tatrzańskich, tam u południowych Polski kresów, to jakaś w dusze nam wstąpiła siła. Jednak tyleśmy pokonali, by tutaj dotrzeć. Jakowaś duma i pewność siebie poczęła w nas nurtować.

Tu parę mi się cisnie do głowy wspomnień o Janku Myszkowskim. Są one zawsze jasne i górne. Jak i on szedł wciąż w górę, tak i jego myśli szły z nim a często go wyprzedzały.

Jeszcze przed wyjazdem rozprawialiśmy wiele o naszej wyprawie. Mówiłem mu o górach Świętokrzyskich, które znałem już z dawnych wędrówek. Słuchał — jak zwykle — skupiony. Z jakimś na twarzy uśmiechem, któremu towarzyszył wyraz stanowczości rzekł mi, gdym wyraził wątpliwość czy uda się nam wyższe zobaczyć góry, niż nasze Łysice i Łyse góry: „Jestem pewien, że dojdziemy do Tatr, — w każdym razie taki stawiamy sobie cel, a to wystarcza, byśmy Tatry oglądali... Zresztą czyż nam wystarczą góry Świętokrzyskie? Człowiek pragnie czegoś coraz lepszego, piękniejszego, im dalej idzie, im wyżej się wznosi”. Nie powiedział mi wtedy, że tę zasadę chciałby w życiu stosować. Ale zrozumiałem dobrze, co miał na myśli. W dążeniu do piękna i dobra nie można mieć granic z góry określonych. Trzeba niejako dążyć wraz z nimi w nieskończoność, trzeba iść do ideału.

Podobną myśl rzucił on kiedyś, gdy w obozie po gawędzie, przy blasku dogasającego ogniska mówiliśmy o tem i owem: „Musimy stale postępować naprzód. Kto stoi w miejscu — ten się cofa wobec biegnącego z przerażającą szybkością świata. Musimy się rozwijać i doskonalić, o ile nie chcemy pozostać w tyle. Czynimy to, licząc na siebie, a może tylko na siebie. Szukajmy ciągle rzeczy nowych, by poznać jaknajwiększą cząstkę świata”.

Może kiedy wam to przychodziło do głowy. Bo mnie te myśli zwykle wtedy nie dawały spokoju, gdym z kijem w dłoni i plecakiem wyruszał na wędrówki. Znalazłem wspomnienie o tych chwilach, choć już tak dawno minionych, a tak drogich — przechowane przez mojego „najszczerzego przyjaciela” — dzienniczek.

„Obładowani ciężkimi plecakami z kijami długimi w dłoni, weseli, pełni sił i zapału szliśmy w świat. Patrzyliśmy nań tylko z tej jasnej strony, cieni prawie nie spostrzegaliśmy. Życie otwierało się przed nami bujne, bez troski — chociaż na własne zdani byliśmy siły. Szesnastoletni conajwyżej chłopcy idą sami na wędrówkę, oderwani od ciepłych domowych ognisk, wygodnych łóżek, smacznych obiadków, mamusi i siostrzyczek, a idą z weselem, pełni zapału — pytam sam siebie. Nic to; tak właściwie trzeba. Nasza męska natura żąda tego. My chcemy wrócić do domów silniejsi, zdrowsi, zasobniejsi w doświadczenie zdobyte przy samodzielnem życiu dnia codziennego. Pewnie w domu wielu wszystko ma co trzeba, mało który (z nas przynajmniej) musiał się troszczyć o siebie, a cóż dopiero o innych!”

A teraz myśl o sobie i przecież o wszystkich twych towarzyszach! Po takiej wędrówce, choćbyśmy na dwóch stali biegunach poglądów — zawsze się odnajdziemy.

Węzeł raz zawiązany, może się rozluźnić, lecz nie rozwiąże się. Jak najlepsze węzły harcerskie, nie „puści”, chyba że sami go zechcemy rozwiązać.

A tu szmat drogi leży przed nami: najpiękniejsze ustronia, najdziksze lasy naszego kraju. To brzegi szarej naszej Wisły — Kazimierz stary, pełen pamiątek sławnych, to Sandomierz, owa kolebka świetności, pierwsze w Małopolsce po Krakowie miasto, to bory Świętokrzyskie o których tyle krąży podań i klecht fantastycznych, to białe skały Ojcowa, jakby uśpione rycerstwo jakieś, królewski Kraków i strażnicze nasze Tatry. Poznać to wszystko i ukochać odtąd mamy te wszystkie miejsca.

Ruszamy więc w kraj, ruszamy nie tylko myśląc o sobie, ale i pełni otuchy na przyszłość.

Stare naszych poprzedników stoi mi na myśli hasło:

Poznaj swój kraj — od Karpat aż do Bałtyku, od Odry aż do Bugu i Niemna; poznaj każdy zakątek ziemi twoich ojców, gdzie tylko brzmi jeszcze dźwięk mowy polskiej, gdzie znajdziesz pomniki chwały i kultury narodowej...

A wtedy to wszystko pokochasz jakąś miłością szerszą i głębszą. Bo Ojczyzna będzie ci bliższą, bardzo bliską, będzie ona w tobie. Będzie ona w twych wspomnieniach przeżytych chwil, grać ci będzie poszumem złotych

sandomierskich łąnów i ciemnych borów Łysogórskich, a szare Wisły fale przyniosą ci echa od Karpat i Tatr i zaniosą je hen daleko ku piaszczystem prastarym wybrzeżom, by je oddać spokojnym falam mierzei Bałtyckich.

I wspomnisz może wtedy patrząc na owe białawe obłoczki szczytów fal wiślanych, co jedna goni drugą i prześciga ją, i ginie by znów dalej pójść w zawody — na starożytne siedlisko bogactwa i wielkości tej naszej Rzeczypospolitej. Gdańsk, kędy wszystkie niemal zawiąły okręty, i wszystkie flagi widziałeś i różnójzyczne przewijały się tłumy.

Tam źródło życia bujnego, niczem nieskrępowanej samodzielności i wielkiego krajowego bogactwa; tam też początek owego nadmiaru życia i rozkoszowania się a zarazem źródło zniechęcałości, buty, pychy i lenistwa, przeciwko którym powstawały całe szeregi pisarzy i natchnionych kaznodziei od Kochanowskiego i Skargi poczynając.

Tam to właśnie może znajdziecie początek i kres naszego rozkwitu. Niechaj tam więc biegną echa mocarne od Karpat i rycerski zew owej zakłętej drużyny królewskiej, zaskrzepłej w zwyczajnym pochodzie w tatrzańskich turniach i wirzach.

Ster.

□□□□□□□□

Wspomnienie.

Wędrowałem kiedyś konno po ziemi ojców moich — po Zmudzi Świętej... O złotym, paljowym zmierzchu jesiennym, który kładł się na wrzosowiska leśne jak uśmiech jasny serdecznego wzruszenia, zdecydowałem ja i moja kasztanowata „Dajna” (po litewsku znaczy piosenka), że dosyć już mamy całodziennych podróży po leśnych manowcach i nad stromemi urwiskami rzeki An-czy i że czas już spocząć i popaść obojgu. Zapachniało skądś mi dymem, Dajnie stajnią — i oto zarżała przeciągle, wesoło — zwracając swoją śliczną, suchą, rasową głowę ku widniejącemu w oddali pod lasem białemu dworkowi. Nie wiedziałem zupełnie, gdzie kładł się, jak daleko od domu; — ot tak szukałem przez cały dzień wiatru w polach i lasach, szukałem moich młodzieńczych pieśni w ukraińskim, gdzie było dzieciństwo „sielskie-anielskie”; w domu stryja wiedzieli, że „młody pan dziwaczy się całymi dniami na Dajnie” po różnych wertepach i wraca często nad ranem.

Zebrała się w sobie mocniej znużona Dajna i poniosła mię krótkim galopkiem w wysokie

staropolskie wrota dworku. Jej „quadrupedante sonitu” poruszeni mieszkańcy, którzy zasiadali już do wieczery, wylądowali na ganek. Była to poważna starsza pani o miłym pogodnym uśmiechu, dwie panienki po lat 15—17 i młodzieniec smukły lat może 18-u. Nie wiele miałem kłopotu z prezentacją i prośbą o gościnność. Przyjęto mnie tak — jak to u nas na kresach gościa się przyjmuje. Byłem od domu o 5 mil, wieś miała miano harcerskie — Czuwajcie; pani znała mnie dzieckiem, była kiedyś przyjaciółką mojej matki. W parę minut siedziałem już przy białym obrusie, pod jasną lampą, jadłem wędliny, piłem herbatę i wesoło rozmawiałem z mieszkańcami Czuwajci. Raz rozwinięty motek wspomnień i stosunków rozwijał się przez kilka godzin coraz barwniejszą nicią. Mąż pani domu bił się z moim ojcem pod Sierakowskim, ojciec jej konspirował z moim dziadem w lata trzydzieste. Doszliśmy i do związków krwi wspólnej wreszcie. Panienki były na pensji w Warszawie, chłopiec w szkole w Petersburgu. To mi trochę się niepodobało. Co cię wnuku powstańca, a prawnuku oficera artylerji polskiej poniosło w tę moskiewską stolicę? Chłopiec popatrzył na mnie płomiennymi oczami... „Wola ojca, panie — już dawno zmarłego — abym szkołę miał ciężką twardą, jak i on i dziad, abym przeszedł przez ogień i wodę i przez tęsknotę do Polski, do Litwy naszej, nauczył się cenić je i im służyć”.

— „A czy nie obawiasz się panie Stefanie o język, o wiarę swoją, o utracenie styczności z młodzieżą polską?”

— „Moim językiem jest język naszych krwawych dziejów, wiarę mam w sercu w dobrem zachowaniu, chcę się poświęcić służbie wojskowej, aby na zawołanie kiedyś stanąć, jak Sierakowski w swoich szeregach. Zresztą... boję się Warszawy, żeby mi tam nie było za dobrze czasem”.

„A może to wasza przysłowiowa litewska nieufność względem Korony przez Ciebie przemawia?”

„Nie, panie — wierzę mocno, że i tam czują ludzie mocno, jak i tu, ale ja mam swoją własną komendę”.

— „Jakąż to?” — Chłopiec poszedł do drugiego pokoju i przyniósł stamtąd małe skórzane puzderko jubilerskie, w którym był duży sygnet i paperek poźółkły. Był to duży pierścień z płaskim ametystem, w którym było wyrżnięte popiersie Kościuszki. Sygnetów takich kilkadziesiąt rozdał podobno Naczelnik narodu między najbliższych i najbardziej mu oddanych. Na papierku oderwanym z listu starego napisane było pismem żołnierskim, pewnym — „bierz wszystko najtwardsze i najgorsze na

siebie, jeżeli chcesz być mocnym i twardym".

„To moje pamiątki rodzinne—rzekł Stefan—ta po Kościuszcze, a ta po Jasińskim. To są moje talizmany“.

Słodko zeszła reszta wieczoru. Graliśmy i śpiewaliśmy przy starym fortepianie różne stare pieśni żołnierskie. Starsza siostrzyczka Stefana Zocha miała śliczny głosik—jak dzwoneczek loretański, młodsza Kasia grała ładnie.

Zabrał mię Stefan na noc do swego pokoju, lecz dobrze już koguty opiały popółnocek, zanim sen zamknął na kropkach naszą rozmowę.

Paliło się w tym chłopaku gorące serce żarem szkło stapiającym, — duszą miał piękną jak z obrazka Guido Reniego, a choć sypał rusycy zmy, była w mowie jego jakaś dzwoność treści, która jej nadawała specjalny koloryt.

Rano po smacznej kawie i fundamentalnej zakąsce, ucałowawszy rączki zacnej gospodyni i pożegnawszy się z panienkami, jak z kuzynkami czy znajomymi od dziecka, wsiadłem na Dajnę. Towarzyszył mi Stefan na krępy muszkaty ogierku żmudzki. Zabierałem mego nowego przyjaciela do siebie, właściwiej do stryja — na kilka dni.

Cudny był dzień. Lasy liściaste mieniły się wszystkimi barwami od złota, czerwieni do brązu, nad Anczą leżały mgły srebrne, w promieniach słońca leniwego pływające jak topielice; nad dalekimi stawami grzmiały ostatnie pobudki jakichś ptasich odlotników. Czas był promienny, chłodny wiew lasu uderzał w piersi zdrowiem i życiem.

Przejechaliśmy Anczę w bród, zamoczywszy trochę podeszwy u butów, ruszyliśmy tęgim kłusem leśną ścieżyną w kierunku starych mogił powstańców oddziału Dłuskiego—Jabłonowskiego. Leśne powietrze upajało nas.

Zaczęliśmy śpiewać pod kłus koński:

„Dalej chłopcy, dalej żywo—
„nastąpiło dla nas żniwo,
„rzućwa pługi, rzućwa radła,
„trza wojować, kiej wypadło“.

Śniło nam się rozmarzonym, że jedziemy w awangardzie dużego oddziału, a zachowywalimy się w lesie jak ciury.

Toteż sroki zaraz narobiły ogromnego gwałtu w brzezynie, a wrony o najściu barbarzyńców we wszystkie strony. Gdzieś rozniosły plotki w ostępach ciemnych kwiliły rzewnie jastrzębie, a nad leśne lustrzane Świtezie biegła w echach harmonijnych pieśń dziarska:

„Hej niemasz to życia jak u nas w żołnierce!“.

Nagle Kiejstut Stefana zarył się mocno przednimi nogami w ziemię—omal nie wysadziw-

szy z siodła jeźdźca, — potem spał się, zaczął rzucić się w szczupakach i chrapać.

Z boku, w głuszy leśnej wyrosła przed nami ciemna, wielka opuszczona mogiła, cała porośnięta krzem tarki i głogu. Dajna spokojnie doniosła mię do stóp mogiły, Kiejstut bał się czegoś, chrapał i wspinał ciągle.

Odkryliśmy głowy i przyklekliśmy na murawie; myśli nasze pobiegły ku tym, co osaczeni w borze kilka dni i nocy byli bez posiłku, ubranie z nich spadało, ciało jadło robactwo, a oni dumnie ślali ostatnie naboje we wroga, wołając mu morituri i resurecturi — „Jeszcze Polska nie zginęła!“

Dziękował zaczął stukać w drzewo — jakby zbijał trumnę, jastrzębie kwiliły coraz żałośniej.

„W pogardzie śmierci jest jedyna nadzieja polepszenia losu naszego i przyszłych pokoleń“ — wyszeptał mocno i twardo słowa Kościuszkowskie bladymi wargami Stefan.

Przed dwoma laty — w czasie walk legjonów na polesiu Wołyńskim przyszła wieść o wielkich stratach.

Między zaginionymi czy ciężko rannymi, którzy zostali na placu boju, było imię i nazwisko Stefana.

Poszedł za głosem swoich talizmanów dopełnić nieskończoną ofiarę krwi.

Konrad.

□□□□□□□□

TADEUSZ RADLIŃSKI.

Wśród wirchów, turni i przełęczy.

I.

Kroki wstępne.

„A więc jutro nieodwołalnie puszczamy się w drogę“, zawyrokował mój towarzysz, wielki znawca i miłośnik Tatr, powstając od rozłożonych map, „chociażby nawet pogoda... Musimy zbadać raz na koniec ten Śpiczasty i wiedzieć stanowczo, czego się trzymać!“

„Brawo! dalej na Wirchy! badajmy Śpiczasty czy kanciasty, czy cokolwiek bądź, aby tylko droga była trudna i niebezpieczna, a widoki piękne“, — z tą myślą kładłem się spać wieczorem dnia 11 lipca, przygotowując wszystko starannie do jutrzejszej wycieczki.

A wycieczka to nie byle jaka: to nie Świdnica lub Zawrat, któremi tak lubią imponować tani

bohaterowie tatrzańscy od Przanowskiego ¹⁾, lecz solidna czterodniowa wycieczka na jeden z najtrudniejszych wycieczków tatrzańskich — Śpiczasty i na niezвідzonego dotąd jeszcze zupełnie Egenhofera.

Wszystkie przygotowania skończone, potem posilny, choć krótki sen, i skoro świt, znajomy głos Klimka Bachledy oznajmia, że już czas ruszać. W 10 minut potem pijemy herbatę, stawiając horoskopy co do stanu pogody, budzącej w nas poważne wątpliwości. Siadamy do furki ²⁾, która ma nas podwieźć drogą prowadzącą do Morskiego Oka; droga szybko nam schodzi wśród snucia planów wycieczki i o dziesiątej jesteśmy u krańca naszej podróży: furka śmiało wjeżdża w spienione nurty rzeczki Białki, stanowiącej granicę posiadłości ks. Hohenlohe — tu już Węgry: Szépes Varmégy — Śpiż — brzmi w dzwicznym tym języku napis graniczny. Odprawiamy Jaska z końmi, każąc mu stawić się za cztery dni pod Wantę (miejsce na szosie do Morskiego Oka) i zabieramy się do sutego śniadania i rozlokowania różnych zapasów w plecakach.

Ulżywszy znakomicie torbom, o 11-ej puszczamy się drogę: a więc my dwaj, ciężko stąpający po miękkiej drodze w olbrzymich podkutych butach i dwaj przewodnicy Klimek i Jasiak Bachleda. Idziemy, gwarząc wesoło, w dół doliny Białej wody, kierując się ku Jaworzynie (wioska na Śpiżu), a potem w dolinę Jaworową; idziemy zwolna, solidnie, znacząc gwoździem drogę — mój towarzysz z ogromnym alpejskim „eispiklem“, ja ze skromną zakopiańską żelazną ciupagą; każdy dźwiga na plecach wypchany plecak i zwój liny; mamy ze sobą haki i klamry i raki do śniegu ³⁾, jak przystało turystom, mającym poważne przed sobą zadania. Pogoda przeciera się stanowczo — humory doskonałe.

Mijamy słowacką schludną wioskę Jaworzynę i wchodzimy, skręcając na południe, t. j. ku górcom, w obręb zwierzyńca księcia Hohenlohe w cudownej Jaworowej dolinie.

Olbrzymia ta, więcej jak milę długa dolina, przetrzęta wspaniałym potokiem, co aż z pod

¹⁾ Przanowski — znana kawiarnia, gdzie „prawdziwi taternicy“ spędzają codziennie koło 6 godzin, wobec czego w góry nie chodzą, bo brak im czasu.

²⁾ Furka — wózek zakopiański — organ szcztątkowy, trzęsący i niewygodny z półkolistym sklepieniem z płótna, które wprawdzie na deszcz przemaka, ale za to skutecznie zasłania najpiękniejsze widoki; zwolna ustępuje miejsca wehikułom typu europejskiego.

³⁾ Haki i klamry służą do wbijania w skałę w trudnych miejscach przy wchodzeniu — w ten sposób zabezpieczamy sobie powrót, gdyż za klamrę przewleka się linka, po niej się spuszcza na dół, wyciągamy linkę z kółka klamry. Raki — przyrząd z kołkami, przyczepiany rzemieniem do podeszew, dla chodzenia po śniegu.

wiecznych śniegów pod Lodowym szczytem wpływa, przesłanicznie umajona bujnymi lasami, służy jako ulubione miejsce do polowań dla tego możnego pana. Kazał on wszędy ponastawiać strzeleckie szałas i zasieki, i niechętnie przepuszcza turystów, i to tylko pod warunkiem, że będą się cicho zachowywali, nie płosząc zwierzyny. Powoli, nie śpiesząc się, dochodzimy do starych szałasów nad brzegiem potoku około 4-ej po południu i tu zatrzymujemy się na nocleg wśród rosochatych, rozłożystych smreków. Jutro mamy przed świtem iść dalej — należy się więc godnie przygotować do jutrzejszych zapasów, bo czeka nas wyprawa na serjo, gdzie nie raz przyjdzie prawdziwemu niebezpieczeństwu zajrzeć w oczy.

Górale opatrują tedy szałas na noc, zatykając mchem liczne otwory; wyściela się dno szałasów świeżymi gałązkami jedliny, i na tem wonnem, a miękkim posłaniu rozciągamy się jak najwygodniej, popijając herbatę z winem (niczym nie dający się zastąpić w górach napój) i zagryzając obficie.

Kto sam nigdy wrażeń podobnych nie przeżywał, zaledwie zdoła odczuć całe piękno takiego noclegu na wolnym powietrzu w Tatrach. Szałas, jak budka z dwóch kart ustawiona, lub jak rozchylona książka, jedną stroną do skały przyparty, drugą ma szeroko otwartą. U tego wejścia rozkłada się watrę (ognisko) i leży się na pachnącym posłaniu z jedliny, słuchając trzaskania iskier, szumu odległego potoku i tych prostych, niewyszukanych, a przecież tak pełnych uroku gadek góralskich! Leżymy tak, zapatrzeni w fantastyczne kształty płomienia i całe nasze „ja“ pod czarem tej nocy tatrzańskiej, rozplywa się i rozprasza na atomy. Leżymy tak, zasłuchani, zapatrzeni, a w rozbudzonej fantazji nieskończonym korowodem kłębi się rój cały nieuchwytnych mar i widziadeł: tych wierzeń prostego a wolnego ludu, który góry swe sercem całym i krwią całą ukochał; tych bajek czarodziejskich, zrodzonych wśród tajemniczych kniej i ostępów leśnych, wyszeptanych w ponurym ciemnym smreków poszumie; tych legend bohaterskich, poczętych wśród groźnych wichru halnego poświstów, wśród ryku burzy, po niedostępnym wirkach rozszalałej — w lśniącym świetle błyskawic; tych słodkich a naiwnych siełanek, nad strumykiem na ligawce pastuszej wyśpiewanych; tych klechd i baśni zaczarowanych które wypełzły gdzieś z głębi tajemniczych skalnych rozpadlin, gdzie zza splotów mchu zielonego, frendzlami opadających z czarnych, wilgotnych i śliskich skał wąwozu, za chwilę zda się pierzchnie ukryta wśród paproci boginka, lub „złe“ ze złomów kamieni wypełźnie... Tego wszystkiego, co bajecznym swoim kolorytem,

rozwichrzoną, a junacką fantazją swoją musi mieć tło tak bogate, tak wspaniałe i niezgłębione, jakim są nasze Tatry ukochane!

O nocy pełna uroku! O czarowna tatrzańska nocy!

□□□□□□□□

MYŚLI O PRAWIE.

Nie podoba mi się postępowanie dziewcząt względem Mani. To prawda, że ona jest nieznośna i nie postępuje tak, jak powinna, będąc skautką, ale one mogłyby się od niej nie odsuwać. Na każdym kroku wypowiadają jej wszystkie wady, bo mówią, że w ten sposób pomagają jej do poprawy. Ja myślę, że przecież skoro czwarte prawo nakazuje nam kochać skautki, jak siostry, to powinnyśmy postępować inaczej.

Nikogo za jego wady nie pokochamy, ale właśnie trzeba zwracać uwagę na dobre strony i za nie kochać. Chyba najlepiej będzie wciągnąć Manię między siebie, dać jej odczuć, że ją lubimy, a wtenczas napewno będzie chciała się poprawić, żebyśmy ją jeszcze bardziej pokochały.

Przecież, żeby ludzie wypominali sobie ciągle swoje braki, toby się wzajem znosić nie mogli. Zanim poznamy dobrze człowieka, sądźmy go z jego dobrych stron, nie myśląc o złych, bo tylko wtedy osiągniemy dobre stosunki, a unikniemy przykrości.

Z notatek 1914 r.

Z zastępu Orłów.

WIELKA KOLONJA W KLUCZKOWICACH.



Codziennie wszyscy niecierpliwie oczekiwali, naturalnie... w „ogonku”, darów „gospośi”. I szarże też.

DZIAŁ „BISZKOPTY”.

DWA Z. H. P.

Od paru dni „biszkopty” naradzają się ciągle po kątach w szkole i są tak czemś przejęte, że aż nauczycielki zwróciły uwagę.

— Co wy macie za tajemnice? — pytają niektóre koleżanki.

Ale wówczas biszkopty robią się dziwnie milczące i są przez chwilę tak poważne, że nauczycielki kręcą głowami ze zdziwienia.

A za chwilę znów zaczyna się dyskusja:

— Kiedy mówię ci, Zosiu, że już nie warto o tem mówić? Podpowiadanie jest złe, i już!

— No dobrze, ale nie podpowiadać to nie-koleżeńsko.

— A czy to koleżeńsko przysługa przyzwyczajając do oszustwa i do nieuczucia się lekcji? Bo potem dziewczęta nie będą się uczyć lekcji, licząc na podpowiadanie. I co z tego za korzyść? Jak zapytają, to niby umie lekcję, a jak przyjdzie do powtórzenia kursu, to ani w ząb.

— A czy myślisz, że nauczycielka tego nie słyszy? Ładne musi mieć pojęcie o naszej uczciwości!

— Nie tylko o to chodzi, ale przecież nauczycielka wie, że uczennica, której podpowiadają, nic nie umie.

— A czy przyjemnie ci, jak nauczycielka nie słyszy podpowiadania i stawia ci piątkę, a ty wiesz sama, że to niesprawiedliwość, bo ty nic nie umiesz.

— Ja przecież raz umiałam dać odpowiedź, a że właśnie w tej chwili podpowiedziały mi ją i nauczyciel słyszał, więc nic nie odrzekłam i dostałam dwójkę. Od tej pory nigdy nie proszę o podpowiadanie.

— Przekonałyście mnie; widzę, że macie słusność. Czy to wam w harcerstwie o tem mówią?

— Tak, mówiłyśmy o tem nieraz na [zbiórkach]. Cieszę się, żeś się przekonała o naszej słusności. Ale teraz musimy coś zrobić, żeby żadna harcerka nie podpowiadała. I to nietylko harcerki, — niech cała klasa się oduczy,

— Dobrze, naznaczymy kary pieniężne!

— E, to nie ma sensu! Niektóre nie mogłyby płacić, a innymby to różnicy nie robiło. Najlepiej nie podawać ręki tym, co podpowiadają.

— Ale przecież ręki się nie podaje za czyny niehonorowe, a te, co podpowiadają, nie chcą oszukiwać, lecz poprostu nie myślą co robią.

— No, to zrobmy sądy koleżeńskie!

— Ojej! cały dzień i całą noc musiałybyśmy radzić. A odrabianie lekcji, a ślizgawka?

— Tak, to stanowczo niedobrze, ale co wymyślić?

— Już wiem: założmy Związek Honorowego Postępowania i wzajemnej pomocy w naukach. Członkinie tego związku zobowiążą się nie ścierać i nie podpowiadać; lepsze uczennice będą pomagać słabszym. Jednym słowem — zaopiekujemy się klasą.

— Świetnie! Więc jak to będzie? Związek Honorowego Postępowania? Patrzenie — nowe Z. H. P., a to zabawne!

— Słuchajcie, ja nie jestem harcerką, ale czy mnie przyjmiecie do tego związku?

— Naturalnie, przecież to dla wszystkich.

— Albo wiecie co? Wam tak widzę dobrze w tem harcerstwie, że się zupełnie do niego przekonałam i od dziś chcę być w obu Z. H. P.

— Brawo Zośka, to rozumiem! Chodźmy do wstępnej, opowiedzieć jej nasz projekt.

W. i A.

□□□□□□□□

Co harcerz wiedzieć powinien?

1. OBLICZANIE SZEROKOŚCI.

Nieraz zdarzało mi się widzieć w podręcznikach skautowych lub słyszeć na zebraniach w zai stępach następujący sposób obliczania szerokości.

Wyszukawszy na przeciwnym brzegu rzeki jakiś punkt orientacyjny naprz. drzewo, stajemy naprzeciw niego (w p. B), poczem idziemy brzegiem rzeki 60 kroków w prawo lub w lewo. Tu wbijamy w ziemię naszą laskę harcerską (p. C), następnie zaś posuwamy się jeszcze o połowę tej odległości w tym samym kierunku, a więc o 30 kroków (do p. D). Tutaj robimy zwrot tak, aby stanąć tyłem do rzeki i idziemy naprzód dotąd, aż nasze oko, laska i drzewo znajdują się na jednej linii. Otrzymałmy prostą (p. E).

trójkąty: A B C i D E C, gdzie

$$X = \frac{BC}{DC} \cdot DE =$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

$$= \frac{60}{30} \cdot DE = 2DE.$$

obliczania szerokości b. ważna niedogodność. Gdyby bowiem kto chciał zmierzyć (np. szerokość Wisły pod Warszawą) musiałby odejść od jej brzegu o kilkaset metrów, a więc w okolicy Krakowskiego Przedmieścia!

Nie trzeba więc w podobnym wypadku brać takiego stosunku, jaki wyżej przytoczyłem, lecz np.: CB=100, CD=10, a wtedy odcinek DE= stanowi 10-ą część szerokości rzeki.

Stąd ogólne prawidło: tyle razy jest większa szerokość rzeki od odległości naszej od brzegu, ile razy większa jest droga przed wbiciem laski od drogi, jaką przejdziemy po jej wbiciu (do czasu zmiany kierunku).

2. ZAMIANA KROKÓW NA METRY.

1) Sposób zwykły. Od liczby kroków odejmij 1/4 tej liczby, a otrzymasz metry.

2) Sposób o wiele łatwiejszy i szybszy. Licz kroki tylko na lewą nogę (podwójne) i dodaj do liczby, jaką otrzymasz 1/2 tej liczby, a otrzymasz metry.

Naprz. 1) otrzymałeś 200 kroków zwyczajnych (przyczem musiałeś liczyć aż do 200) 200:4=50; 200-50=150 metrów.

Naprz. 2) otrzymałeś 100 kroków podwójnych (a więc liczyłeś tylko do 100), 100:2=50; 100+50=150 metr.

Dogodność drugiego sposobu polega na tem, że:

1) operujesz mniejszymi liczbami,
2) dwa razy mniej masz roboty z liczeniem kroków,
3) łatwiej i szybciej otrzymać możesz połowę jakiejś liczby, niż jej czwartą część.

4) szybciej i łatwiej uskutecznić możesz dodawanie, niż odejmowanie.

Stanisław Prószyński.

□□□□□□□□

TO I OWO.

Nie wiem, czy na skutek tego, że „Harcerz” nie ukazywał się dość długo (z powodu różnych wojennych i materialnych trosk), ale

WIELKA KOLONJA W KLUCZKOWICACH.



Praca chłopców w parku.

niewielu druhów zechciało napisać do redakcji o życiu swych drużyn. Choć dzisiaj jest już daleko lepiej! Mamy już niejednego stałego korespondenta. Po wielokroć pisaliśmy w roku zeszłym na tem miejscu, żeby korespondenci drużyn nadsyłali stałe periodyczne „kroniki”. Niestety, nie do wszystkich to wołanie doszło. Zapewne teraz, skoro „Harcercz” wychodzić będzie regularnie, to i wzajemnie regularnie czytelnicy nasi korespondować będą z redakcją.

Zmieniło się wiele rzeczy na świecie szerokim i wśród nas od wyjścia ostatniego numeru „Harcercza” i możnaby wiele pisać o wszystkim. Niestety z konieczności wyrzec się musimy opisywania dziejów tego okresu czasu. Chcielibyśmy tylko zwrócić uwagę wielkiej braci harcerskiej, że w tece redakcyjnej znalazło się trochę „Listów z Łodzi”, które częściowo poniżej zamieszczamy — ale i nietylko listów — skoro się Łodzianie na Zjeździe zapoznali z redakcją „Harcercza”, postanowili u siebie urządzić „Komitet redakcyjny”, jako filję warszawskiego, który ma nam w pracy pomagać, a może i zalać nas powodzą artykułów. Wydano odezwę do druhów okręgu b. Łódzkiego, a zdaje się, że skutek odniesie. Już pierwsze owoce tej pracy otrzymaliśmy i skorzystamy z nich. Gdy do nas piszą to przynajmniej wiemy co się dzieje i co się myśli wśród naszego „harcerstwa”! A inne okręgi czy też u siebie nie urządzają „komitetów”?

Łodzianie są „morowi” i widocznie dobrze się u nich dzieć musi — życzymy im, oby tak dalej szli w kierunku doskonalenia samych siebie i dobra organizacji.

□□□□□□□□

Z ŻYCIA HARCEREK.

Jest w Warszawie jedna drużyna, a w tej drużynie jedna skautka, co mając z natury serce tkliwe na utyskiwania bliźnich, pośpiesza ci opowiedzieć jedno bardzo miłe zdarzenie.

Otóż w drużynie tej postanowiono urządzić „choinkę”. „Choinkę z papusianiem”, jak mówiły biskopty, czyli z wilją, jak nam starym weteranom powiedzieć wypada. Jakie tam były do tego przygotowania, jak się wyciągało mamusiom różne wanilje, gałki, cynamony, jak się smażyło irysy i gotowało barszcz — nie będę opowiadała, dość, że punktualnie o 2-iej w niedzielę choinka miała się odbyć.

Dziewczeta już się zebrały, lecz drzwi od izby szczelnie zamknięte: jakaś niespodzianka.

Trochę oczekiwania — drzwi otwierają się i taki mniej więcej widok: nawprost stoł w podkowie z zielenością i serwetkami, po środku jakieś bukiety i opłatki, z boku olbrzymia choinka (nie uśmiechajcie się wątpiaco: — izbę mamy dużą wszystko się więc zmieściło).

Barszcz już nalany. Drużynowa zbliża się do stołu, bierze opłatki, robi się zupełnie cicho, a ona zwraca się do nas: „I czegoż wam życzyć dziewczęta? Tego chyba, czego same najbardziej pragniecie? Pragniecie być dobrymi skautkami — prawda?” „Tak, tak, pragniemy”... Ona wyciąga dłonie... robi się od razu miło, dobrze...

„No, dziewczęta do stołu, barszcz zupełnie wystygnie”. Siadamy wszystkie, tylko zastępowa kręcą się, usługują. Zaczynam obserwować nieznanne twarze sąsiadek: jeszcze przeważnie trochę wzruszone, ale uśmiechnięte jakieś i radosne.

Po sprzątnięciu wszystkiego siadamy dokoła, będą śpiewy. Drużyna miała swój wewnętrzny konkurs na piosenkę, nadesłano ich 7, zaczynamy więc śpiewać. Początkowe wzruszenie ustępuje miejsca mocnej wesołości. Wszystkie śmieją się, dokazują, gadają jedna przez drugą — twarze wesołe, roziskrzone, usta śmiejące się i pogodne, jasne oczy... dobrze nam.

„Uciszcie się!” — „Teraz, dziewczęta zaryzykujcie wszystkie pod choinkę, może tam która znajdzie co dla siebie od swej zastępowej.

Rzucamy się pod choinkę, jedna przez drugą wyciąga jakieś paczki, rozwijamy je: notesy, ramki, czuwajki, najróżnorodniejsze podarki, nowy wybuch radości, podziękowania, uśmiechy, znowu nam coś taje koło serc i znowu nam dobrze, coraz lepiej. Potem były gry, potem kolendy. Rozdokazywały się wszystkie na dobre niektóre nawet za bardzo.

Któraś z zastępowych udaje zemdloną, biskopty czują ją, ratują, łamią ręce, potym symulacja się wydaje, więc znowu radość i tak bez końca.

Zmierzcha się już zupełnie, w izbie szarawy półmrok, widać jeszcze wyraźnie tylko białe sylwetki rozradowanych twarzy, a zresztą wszystko powoli zaciera się. Nie ma światła, musimy się rozejść.

„Drużyna bacność” — „Rota” — padają krótkie, trochę twarde słowa. Jest tak cicho, że słyszę poprostu bicie serca, stojącej obok mnie Heli, a potem gdzieś tam z końca, z ciemności prawie zupełnie, cichy trochę drżący głos: „Nie rzucim ziemi”... podchwytyjemy wszystkie i spokojnie, równo, wśród tej srebrnawej szarzyzny wieczoru, padają tony silne, duchem jakimś mocarnym owiane, cudne...

„Rozejść się”.

Taka była nasza choinka. Czar jakowś szedł mi na duszę dnia tego, i do duszy wszyst

kich naszych biskoptów i weteranów. Z każdym zaczynaniem „Roty”, staje mi przed oczami ta izba, z leśnym zapachem rozwieszonych gałęzi i choinki, i my w szeregu, nieruchome, z bielejącymi twarzami i ten śpiew. Było nam wtedy dobrze, tak dobrze, jak nigdy dotychczas w drużynie.

□□□□□□□□

Z ŻYCIA NASZYCH DRUŻYN.

ŁÓDŹ.

W organizacji naszej mamy obecnie w Łodzi 8 drużyn, należących do Obw. I Okr. VI A, w których liczba członków wynosi przeszło 700. Praca idzie tu dość zwawo, pod niektórymi względami, powiedziałbym, nawet lepiej, niż w Warszawie. (Niech się Druhowie z Okr. I nie obrażają). Jest to jednak zupełnie zrozumiałe: tutejszy skauting napotykał większe i długotrwałe przeszkody, niż warszawski i dla tego chłopcy są u nas więcej zahartowani i lepiej znoszą rozmaite przeciwieństwa losu, to też teraz gdy mają swobodę działania, szerzej wylewają swoją energję, do niedawna krępowaną. Aczkolwiek więc nie mamy w Łodzi tylu co w Warszawie harcerzy III i II stopnia, jednak ci, co są dają sobie znakomicie radę w życiu i pracy skautowej.

Obecnie praca wre u nas na dobre: wyższe szarże na gwałt szykują się do wyjazdu do Warszawy na doroczny Zjazd, niższe zaś, oraz niektórzy nawet szeregowcy [tutaj uważane za rarytas nadzwyczajny] do próby na II stopień, który ma się za jakieś dwa tygodnie odbyć. Są i tacy, co usiłują połączyć jedno z drugim, co naturalnie, przy naszej znanej harcerskiej obrotności uda im się wcale dobrze!

Wypada mi wreszcie i o naszej Drużynie kilka słów powiedzieć. Otóż są u nas chłopcy przeważnie młodzi. Jedynie szarże, oraz VIII zastęp „Dzików”, będący wzorem dla całej Drużyny (zdaje się, jedyny w Łodzi, który zamierza do próby na II stopień przystąpić w pełnym składzie) składa się z chłopców nieco starszych, reszta, to przeważnie 13-to — 15-to letni. Mimo to, ten cały „mały ludek” wre i kipi życiem, co można sądzić chociażby z tego, że przez tylko jeden miesiąc wrzesień r. b., na początku roku szkolnego, obroty kolportażu Drużyny wyniosły około 30 Mk., co jak na wcale nie najbogatszą drużynę, stanowi dość pokaźny obrót. Dużą dogodnością jest również sposób

wydawania przez kasę drużyny pożyczek zastępom do zwrotu w ciągu roku szkolnego. Pożyczki te, do wysokości 10 Mk. wystarczają na pierwsze potrzeby wyekwipowania zastępu w pierwszych tygodniach powakacyjnych, kiedy to zbieranie składek idzie nieco opieszale. Niemniej pożytecznym jest obranie sobie przez zastęp jakiegoś zawodu, specjalizowanie się w nim, a potem zdanie na sprawność i zarobkowanie na mieście, dla szerszej publiczności. U nas w Drużynie np.: dwa zastępy „studują” introligatorstwo, jeden — elektrotechnikę. Inne, z powodu młodego wieku chłopców, i dużej ilości biskoptów nie mogą sobie na takie „zbytki” pozwolić.

Odrębny świat, jakby dopełnienie drużyny stanowią „zuchy” — najmłodszy. Są oni połączeni w osobne zastępy, które dowodzą chłopcy, pełniący funkcję szeregowców w swoich zastępach. Zajęcie tych „akademików” stanowią przeważnie gry i zabawy. Naturalnie rozwija ich się również ideowo, lecz w miarę tylko, by z nich wyrobić w przyszłości co się nazywa dzielnych harcerzy.

W. D.

Październik, 1917.

ZYRARDÓW.

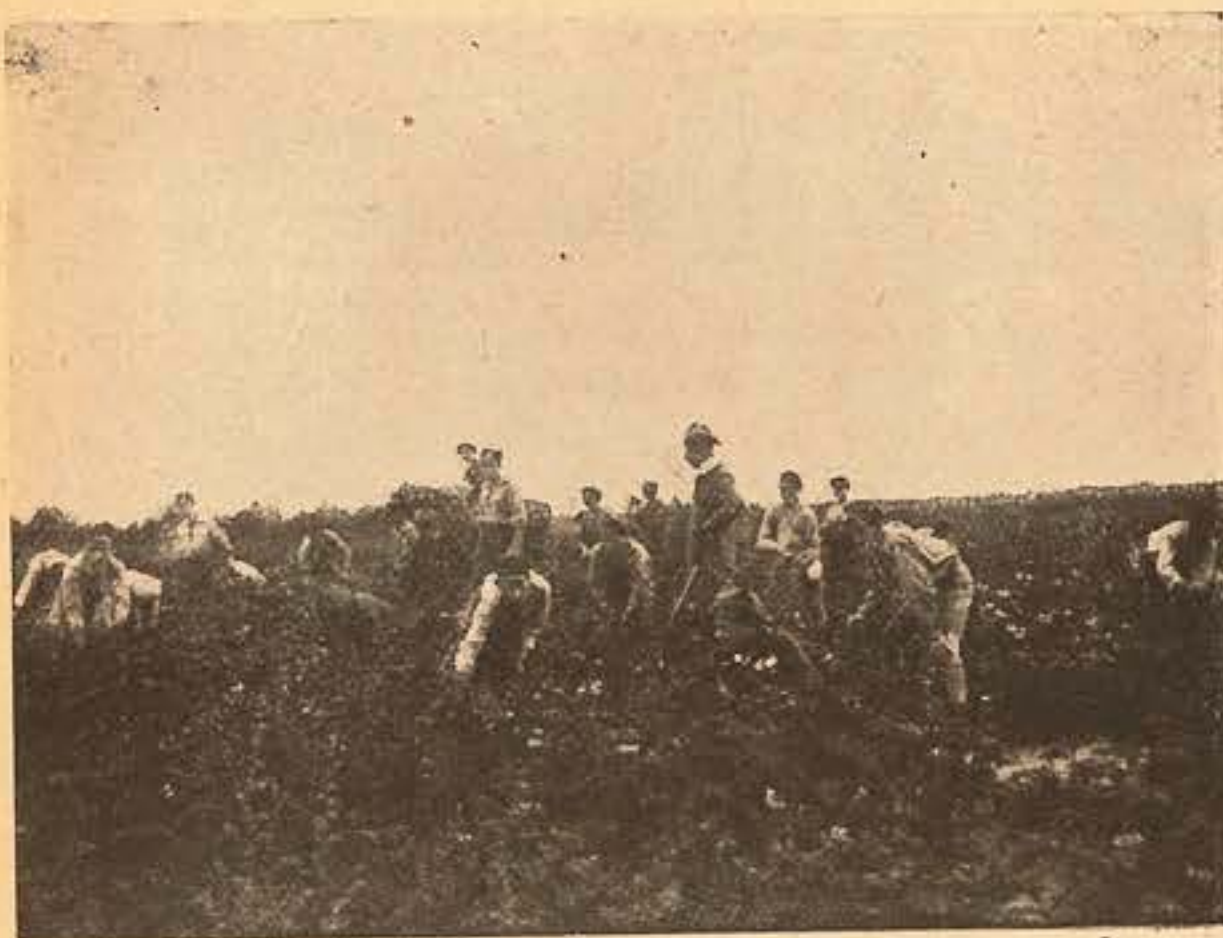
Od dwu tygodni w drużynie naszej formalnie kipi; w tygodniu ostatnim przecież było aż czternaście zbiórek — proszę sobie wyobrazić — czternaście zbiórek w ciągu siedmiu dni!

Gotowaliśmy bowiem pierwszą wieczornicę, która połączona była z poświęceniem krzyża na grobie powstańców 63 roku, naszym staraniem wzniesionego, i wreszcie z wizytacją księdza komendanta.

Pomimo jednak wielce drobiazgowych przygotowań serce biło mi niespokojnie, gdy wreszcie zaświtał pochmurny ranek 8-go grudnia. Zrywając się ze snu już powtarzać zacząłem rozkład dnia, który miałem umieć, jak pacierz: 8¹⁵ zbiórka szarż, 10 przegląd drużyny, 10¹⁵ marsz do kościoła, 12 marsz do krzyża i t. d.

Przybyliśmy na dworzec prawie równocześnie z pociągiem i ustawiliśmy się z wyciągniętymi w stronę pociągu szycami. Skoro ukazał się ks. Komendant, donośna komenda: „w prawo patrz”, prezentacja szarż i przydzielenie ks. komendantowi adjutanta — cicerone. Ks. komendant z jednym z członków Patronatu i swym adjutantem wsiadł do powoziku, a my per pedes apostolorum bocznymi ulicami szybko pobiegliśmy do izby. Wnętrze tej naszej izby w owym pamiętnym dniu nie zapomnę chyba nigdy. Wpa-

KLUCZKOWICE-GÓRY.



Jak pracowano w polu. Przy ziemniakach.

dłem jak bomba, chcąc jeszcze obejrzeć czy wszystko w porządku. Grad pytań posypał się na mnie ze wszystkich stron od każdego z harcerzy, że nie wiedziałem, jak z pod niego wybrnąć. W porę przybył mi z pomocą drużynowy, donośnym głosem obwieścił co najkonieczniejsze i zaraz polecił mi ustawić drużynę. Niespodziewanie szybko wpada adjutant i potężnym głosem obwieszcza: „Baczność! Komendant Naczelnny”. Wchodzi do izby ks. Komendant wraz z członkami Patronatu i, odebrawszy raport, przemawia do nas — tyle zawsze o nim opowiadaliśmy chłopcom, stoi oto teraz przed ich frontem i mówi — nie przez rozkazy, ani artykuły pisma, ale żywym słowem. Przegląd drużyny skończył się, jak chyba zwykle się kończy, „wybucaniem” ks. Komendanta, a już okrzykiem „niech żyje” nie byłoby końca, gdyby nie rozkazy drużynowego. Ruszyliśmy do kościoła i modliliśmy się, jak na prawych harcerzy w dniu święta Królowej Polski przystało.

Marsz po okropnej drodze przy fatalnej pogodzie odbywaliśmy ze śpiewkami, śmiechem i żartami, które wieściły, że „harcerz jest wesoły”.

Przy krzyżu w Czarnym Borku zastaliśmy już sporą gromadę ludzi i czworobok, zaciągnięty przez naszą awangardę. Zaczęliśmy wznosić krzyż. Był on potężny, z młodego dębu wyciosany. Gdy leżał na ziemi zdawało nam się, że rękoma go wprost łatwo dzwigniemy. Jednak, gdy do tego dzwignania przyszło, musieliśmy za-

prosić do pomocy kilku gospodarzy okolicznych. Po ustawieniu krzyża, odśpiewaliśmy „Z dymem pożarów” i po ceremonii poświęcenia przemówił ks. kan. Taczanowski, a po nim ks. Komendant. Krew tu poległych jest tylko małą kroplą w wielkim morzu polskiej krwi wylanej za wolność — ziemia polska cała krwią nasiąkła, ale i dziś jeszcze nie jest kresem tych ofiar — może i niejednemu z tu obecnych przyjdzie życie Ojczyźnie oddać. Nie dziw, że gdy przyszła na mnie kolej, byłem wzruszony i z ledwością mogłem panować nad wzruszeniem, głosząc, w tymże duchu, że tylko własną pracą i ofiarami wolność się zdobywa.

Ze śpiewem znowu powróciliśmy do domu.

W resursie, gdzie za chwilę nie mała się odbyć wieczornica — rozgardjasz. Brak wielu rzeczy na scenę — i dopiero w ostatniej chwili temu zaradzamy. Nie czekamy z urzą-

dzeniem wszystkiego — na afiszach zareklamowane jest „początek obyczajem harcerskim punktualnie o g. 6”. Choć jeszcze nie gotów — dzwonią! I oto w butach nieoczyszczonych jeszcze po marszu od krzyża staję na estradzie i mówię. Ale przynajmniej cel osiągnięty — rozpoczyna się punktualnie o 6 g., po harcersku. W pośpiechu opuściłem dosyć ważną część odczytu (za co dostałem „wnyki” od ks. Komendanta), ale to frazka, publiczność nie zauważyła tego i oklaskiwała mnie, jakbym rzeczywiście na to zasłużył. Jak odbyła się wieczornica cała, nie mogę pisać, bo natychmiast po odczycie, jako „grający artysta”, musiałem się oddać w ręce charakteryzatora. Sądząc jednak z długotrwałych oklasków, przypuszczam, że wszystko musiało się odbyć względnie dobrze; zwłaszcza popisy gimnastyczne pod kierunkiem drużynowego wywołały powszechne zadowolenie.

Pomimo wielkich obaw pierwszy raz nam się udało.

Marjan Janos, plut.

□□□□□□□□

POWOŁANI DO SŁUŻBY WYŻSZEJ.

Ś. P. E. FANKANOWSKI.

Dnia 7 stycznia odszedł od nas duch wam pokrewny ś. p. Edmund Fankanowski, prezes Kieleckiego patronatu harcerskiego i członek Komendy X A Okręgu. Zmarły był dyrektorem

szkoły Handlowej i na tem stanowisku oddał niespożyte usługi społeczeństwu i harcerstwu. Był to człowiek szarego, codziennego, a wielkiego obowiązku. Swą ideę: przez pierwszy, codzienny obowiązek dążyć do ideałów — pragnął przelać do serc młodzieży. Zrozumiał on harcerstwo i umiał zrozumieć młodzież harcerską. Harcerzy chciał widzieć wzorem młodego pokolenia. I młodzież go też rozumiała. Związek starszych Harcerzy, byłych Jego wychowawców, na zjeździe swym w roku zeszłym wysłał do Niego adres, w którym złożył Mu dzięki za owocną pracę nad kształceniem młodych charakterów, za pogawędki szczerze, jakie miewał z tą młodzieżą. Ci co Go bliżej znali, zachowują wdzięczne wspomnienie, do końca życia, a pamięć Jego ofiarnej postaci będzie rosła coraz bardziej w sercach naszych i tak, jak ziarno, rzucone w rolę, wyda — wierzymy głęboko — plon obfity — czynny. Oby takich — jak On — więcej!

□□□□□□□□ Kł.

Ś. P. JASIEK WOCALLEWSKI.

Drużynowy I Łódzkiej drużyny im. Tadeusza Kościuszki, uczeń VII klasy W. Szkoły Realnej, urodził się d. 3 kwietnia 1900 r., pracował w skautingu od 1912 r. umarł d. 4 grudnia 1917 r.

Chłopcy nazywali go krótko „Jaśkiem”, kochany był bardzo przez całą drużynę, przez kolegów z klasy, a najwięcej przez „biskoptów”, bo i on najwięcej ich kochał. — „Nasz Jasiek nigdy nie podnosi głosu. Nie rzuca się.

— Ani też nie robi „ważnego” i przed drużyną nie łązi, jak na paradzie.

— O, Jasiek stara się o drużynę! — Takie były głosy o nim — krótkie, ale pełne treści.

Znaczenie jego dla wszystkich chłopców — którzy go bliżej znali, jest niezwykłe. Nie był on tylko komendantem drużyny — był czemś więcej.

Jak często w naszym środowisku po pierwszym zapale do pracy, po pierwszych wybuchach energii, zaczyna działać nagle i szybko, głęboko w każdym utajona, kropelka niewiary i zniechęcenia. Jak często chłopcy w połowie rozpoczętej pracy popadają w „pesymizm”, nie mogąc dać sobie rady ze zgodnością „słowa” i „czynu”. Tym wszystkim słabym dawał Jasiek głęboką wiarę w możliwość wcielenia ideałów w życie, osobiście stwierdzając, że można nie tylko pięknie mówić, ale i żyć pięknie. I to była ta wielka wartość, za którą kochał go każdy, kto go tylko znał.

Chłopak miał lat siedemnaście, a mocny był. Z podziwem patrzeliśmy, jak dzielnie porządkował swoje wielkie pragnienia, życie swe w jeden stopniowy układał plan; jak stanowczo pokonywał swoje braki w matematyce; jak mądrze potrafił wyrobić karność, uznanie i przyjaźń w starszych od siebie zastępowych.

To działała potęga przykładu. Jasiek dla chłopców bardzo był wyrozumiały. Działał na nich słowem, mając wstręt do kar. Dla siebie jednak był surowym sędzią — świadczy o tem pozostawiony dziennik.

Tesknoty i pragnienia jego były godne, rycerskie. Cel jeden — służyć codnia innym.

Uczucie pali mu serce, myśli tłumne w piękną szatę przyobleka, budzi pierwsze przebliski talentu. —

Jasiek niespodzianie uległ ciężkiemu wypadkowi. Czuł, że koniec się zbliża, ale mimo wielkiego cierpienia panował nad sobą po męsku, pogodny był — żartował nawet, jak na prawego harcerza przystało.

„Polegli — to drogowskazy na drodze do Ideału” — mówił słabym głosem, jakby na pożegnanie.

Dokoła nas ubywają przedwcześnie najwerniejsi rycerze Sprawy, najlepsi towarzysze, najpiękniejsze wykwitły dusz. Szereg ten powołanych do wyższej służby, — przez Jurka Szletyńskiego zapoczątkowany, zwiększyli ostatnio dwaj drużynowi Myszkowski i Wocalewski.

Mocne, ciągle przytomne, wspomnienie ich pięknego życia staje się żywną glebą dla dusz, na której wyrosnąć mają nowe piękne kwiaty.

Przedwczesny odmarsz najlepszych naszych chłopców ma być tem dla nas, czem dla żołnierzy okopy. Ma nauczyć nas nieustraszonego patrzania śmierci w oczy i rozumienia życia jako ciężkiej próby tylko dla naszego ducha.

Ziarna myśli i uczuć, które oni posiali, nie mogą w nas zmarnieć

Ich zejście to dla nas pobudka do czynu!

Oni szczęśliwi, bo przed nami długi jeszcze okres ćwiczeń i zmagañ, z których jednak godnie, po harcersku wywiązać się musimy. Byśmy mogli z takim samym jak Jasiek uśmiechem, odejść — harcerzom z drużyny duchów śmiało w oczy spojrzeć.

Mężnie więc do próby stańmy! Do czynu — tu, na ziemi polskiej!

St. W.

□□□□□□□□

DZIAŁ ZADAŃ.

OD REDAKCJI.

Otwieramy w „Harcerczu” dział zadaniowy. W dziale tym będą ogłaszane konkursy na rozwiązania rozmaitego rodzaju szarad, łamigłówek, arytmogryfów i t. p. zadań. Stający do konkursu powinni nadsyłać rozwiązania tych zadań do redakcji „Harcercza”. Po wydrukowaniu 25 zadań będą przyznane nagrody tym, którzy nadesłali największą liczbę rozwiązań.

